



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Feliks Walichnowski

Dwa spotkania z Warszawą

Urodziłem się w październiku 1929 roku w Warszawie na Woli i tam mieszkałem do sierpnia 1939 roku. Tuż przed wybuchem wojny wraz z rodzicami i braćmi znalazłem się w pobliskim Piastowie. 8 września do miejscowości tej wjechały czołgi i samochody z niemieckimi żołnierzami. Jeden czołg zatrzymał się koło naszego domu. Było słonecznie, więc wraz z rówieśnikami usiadłem na łące i patrzyliśmy na przybyłych Niemców. Byli młodzi, uśmiechnięci i częstowali nas cukierkami. Od czasu do czasu wystrzelili z armaty czołgowej pociski w kierunku Warszawy. Nad Stolicą zaczęły pojawiać się dymy, a z niedalekiego Ożarowa dochodziły odgłosy bitwy.

Na drugi dzień siedziałem koło matki na łące, a nad naszymi głowami latały nadpalone kartki zadrukowanego papieru, natomiast po niebie, jeden za drugim, leciały samoloty oznaczone krzyżami i nad Warszawą zrzuciły bomby.

– Niemcy niszczą nasze miasta i palą polskie książki – powiedziała matka i zobaczyłem lzy w jej oczach...

* * *

Po upadku Warszawy wkrótce się tam wybrałem i na Ochocie, przed uszkodzonym, dużym budynkiem znalazłem jakąś książkę. Schowałem ją za koszulę i postanowiłem zanieść matce, żeby nie płakała.

Do Warszawy chodziłem często i łąziłem ulicami przedmieścia wolskiego, ale i do Śródmieścia docierałem. Oglądałem tam ubogie wystawy sklepowe oraz patrzyłem na ludzi spieszących po trotuarach. Z dużym współczuciem patrzyłem na wystraszonych i wymizerowanych Żydów, którym Niemcy nakazali nosić gwiazdy Dawida na ubraniach, a następnie odizolowali ich w wyznaczonej dzielnicy Warszawy...

Gdy pod koniec kwietnia 1943 roku znalazłem się pod murami Getta, zobaczyłem okropności (dopiero po latach, gdy oglądałem filmy o Powstaniu w Getcie, uświadomiłem sobie w pełni rozmiary tragedii Żydów)... Stałem tuż za plecami żandarmów niemieckich, którzy miotaczami ognia celowali w domy za murem dzielącym mnie od warszawskich Żydów, wyskakujących z okien...

Widziałem to na własne oczy i ciężko przeżyłem... Wkrótce przepędzono mnie z tego miejsca zagłady ludzi i zbrodni. Szedłem w kierunku rogatek wolskich, a nad moją głową – tak, jak we wrześniu 1939 roku – fruwały popioły.

Mniej więcej po roku od okrutnego zlikwidowania Powstania w Getcie przyszło mi raz jeszcze napotkać warszawskie popioły. Miałem już wówczas 15 lat i pojmowałem, że stała się rzecz straszna

i ważna zarazem – w Warszawie wybuchło Powstanie, ogłoszone po czasie jako ogólnonarodowy zryw patriotyczny ludu Stolicy.

Dwa miesiące wtedy nad moją głową wirowały popioły niesione przez wiatr z Warszawy do Piastowa. Moja matka już nie żyła, płakałem więc za nią i za siebie... Nie dosypiałem, gapilem się na wschodnią stronę i widziałem łuny pożarów i dym nad ginącym miastem. Widziałem następnie kolumny ludzi – cywilów i żołnierzy – powstańców, pędzonych do obozu w Pruszkowie. Chociaż Warszawa padła, to oni szli z podniesionymi głowami, z twarzami zwycięzców. Widziałem to i podziwiałem bohaterów...

Był jesienny poranek 1944 roku. W Piastowie na głównej ulicy podeszli do mojego ojca żołnierze niemieccy i nakazali wejść na platformę samochodu. Co miałem czynić? Nie pozostawiłem rodzica i wdrapałem się na tę platformę, kryjąc się przy jego nogach.

Napełniony ludźmi z łapanki pojazd ruszył w kierunku Warszawy. To tylko osiem kilometrów. Wnet byliśmy na Woli – dzielnicy Warszawy, która pierwsza przyjęła odwet Niemców za Powstanie Warszawskie. Miasto było wyludnione i okrutnie zniszczone. Dojechaliśmy na Krakowskie Przedmieście i zatrzymaliśmy przy hotelu „Bristol”. Budynek ocalał. Zachował się też zespół pałacowy obok hotelu i tam właśnie nas zakwaterowano. Tam także spotkaliśmy Robinsonów, to znaczy nielicznych mieszkańców Stolicy, którzy przeżyli Powstanie i nie dali się ewakuować. Oni to wyjaśnili nam, po co zostaliśmy przywiezieni. Otóż nad Wisłą był front, na Pradze znajdowali się już żołnierze przybyli ze Wschodu.

– Będziecie nocą rozciągać nad rzeką zasieki z drutu! Była to prawda. Zaraz po zachodzie słońca nakazano, aby po dwóch nakładać na drążki zwoje drutów kolczastych, brać ten ciężar na ramiona i marsz w kierunku Wisły. Co miałem czynić? Stałem koło ojca – on mężczyzna i ja, chłopak piętnastoletni...

Droga prowadziła przez Stare Miasto. Zobaczyłem stopy gruzów. Tuż przy kościele, u wylotu na ulicę Mostową dopadły nas kule wystrzelwane na Pradze. Padliśmy w zachowane po Powstaniu barykady. Niemcy powiedzieli, że będziemy w tym miejscu do północy.

Poszedłem do pobliskiej ocalałej kamienicy i przy świetle rakiet łąziłem po opustoszałych izbach. Wszędzie drzwi były wyłamane, a w mieszkaniach wiało smutkiem. Na podwórzu leżały trupy ludzi... Gdy przestano strzelać pognano nas nad samą Wisłą z tymi drutami kolczastymi na ramionach. Tak, byłem nad brzegiem rzeki, słyszałem odgłosy pojazdów po tamtej stronie... Rozciągałem druty i... myślałem, dlaczego nie jestem na Pradze i chyba nie doczekam końca wojny...

Nad ranem skryliśmy się w starej cegielni.

– Ty, smarkacz – powiedział któryś z Robinsonów – musisz stąd uciekać. Nie dla ciebie to pobojowisko!

I tak się stało. Po powrocie na Krakowskie Przedmieście postarano się o miejsce w samochodzie ciężarowym, na który Niemcy ładowali napełnione czymś worki, wśród których się skryłem. Na Woli żandarmi zatrzymali pojazd i penetrowali ładunek. Mnie jednak nie znaleźli, więc gdy dotarłem do Włoch, wyskoczyłem z ukrycia i pieszo udałem się do Piastowa...

...W styczniu 1945 roku przez Piastów, od strony Pruszkowa w kierunku Warszawy, wjechały czołgi z białymi orłami na pancerzach. Wskoczyłem na jeden z nich i usiadłem wśród skulonych żołnierzy w mundurach Wojska Polskiego. Nie protestowali, a jeden z nich powiedział:

– Co chłopie, na defiladę się wybrałeś?

Dojechaliśmy blisko hotelu „Polonia”. Zlazłem z czołgu, poczłapałem wśród ruin miasta i stanąłem, jako nieliczny przypadkowy widz, obok skrzyżowania ulic Marszałkowskiej z Alejami Ujazdowskimi. Naprzeciwko, na tle kikutów wypalonych kamienic zobaczyłem trybunę, a na niej kilku cywilów i generałję (nie wiedziałem wówczas, że wśród nich znajduje się Bierut, Osóbka Morawski i inni dostojnicy).

Patrzyłem na defilujących żołnierzy polskich. Byli poważni, a nawet smutni. – Dlaczego? – myślałem. – Przecież przynieśli wolność... Wolność, a więc żyć będę bez trwogi o swój los.

* * *

Dlaczego postanowiłem napisać to wspomnienie? Przecież w podręcznikach szkolnych, literaturze pięknej, filmach i sztukach teatralnych powiedziano dużo na ten temat, podając szczegóły okupacji Warszawy w latach 1939-1944...

Otóż zaraz po ucieczce Niemców z Piastowa pobiegłem do Warszawy, by zobaczyć dom, w którym się urodziłem i mieszkalem lat 10. Zastałem w tym miejscu gruz i popiół... Rozmiary zniszczeń całego miasta były katastrofalne. Wkrótce postanowiłem wyjechać, jako ochotnik – pionier (delegowany przez Warsztaty Kolejowe w Pruszkowie, gdzie uczyłem się zawodu) na Ziemię Odzyskane.

Znalazłem przystań na Mazurach, gdzie żyję już ponad pół wieku. Tutaj pracowałem (obecnie jestem emerytem), odbudowując ze zniszczeń wojennych odzyskane tereny, wykształciłem się, zawar-

łem związek małżeński, przyczyniłem się do przyjscia na świat dwojga dzieci i doczekałem się czwórki wnucząt.

Gdy teraz spaceruję ulicami mojego miasta, to na każdym kroku widzę, ile nowych wartości powstało tu po wojnie dzięki wysiłkowi tysięcy Polaków, przybyłych na te tereny z różnych stron... Łazikując myślę też o przyszłości moich wnuków i ich rówieśników. Szczególne refleksje nachodzą mnie w związku z wrednymi głosami dochodzącymi ze strony Niemiec. Niektóre bowiem organizacje niemieckie domagają się zwrotu majątku (?) pozostawionego tutaj w.1945 roku... A przecież II wojna światowa – rozpętana z winy Niemców i znaczone zbrodniami hitlerowskimi – rozstrzygnęła, do kogo Mazury powinny należeć.

Polacy na tych terenach gospodarują od dawna, a zastali tę ziemię serdecznie znajomą wyludnioną i zniszczoną z winy Niemców. Tutaj więc powstał dorobek już kilku pokoleń narodu polskiego.